

Zabytki TO TWOJE
DZIEDZICTWO
nie pozwól niszczyć
reaguj



fot. Adam Ciereszko

Ryszard Ćwirlej

Kłopoty znajdą nas wszędzie

www.zabytki-reaguj.nid.pl

Styczeń 1945

Skończył pisać. List włożył do już zaadresowanej koperty, po czym zakleił ją starannie i wsunął do książki, żeby czasami się gdzieś nie zawieruszyła i nie pogniotta w kieszeni. A książka w twardych okładkach dawała solidną ochronę. Był to jakiś przedwojenny przewodnik po okolicy, napisany po polsku. Wybrał go, bo był nie większy od koperty i mieścił się w kieszeni. Treść przewodnika nie miała żadnego znaczenia. Był tylko opakowaniem do tego najważniejszego listu, jaki napisał w swoim życiu. Adresatem był jego brat Otto, który mieszkał na przedmieściach Frankfurtu nad Menem. Chłopak miał dopiero piętnaście lat, więc nie groziło mu, że wciela go do armii. Tam, w Rzeszy, był stosunkowo bezpieczny, więc on, jego starszy brat, liczył na to, że ma duże szanse, żeby wyjść cało z tego piekła. Jego szanse za to były bardzo niewielkie. Ale miał nadzieję...

Za dwie godziny, gdy całkiem się ściemni, wyruszą z tej podpoznańskiej wsi w kierunku Wrocławia. To był jedyny rozsądny kierunek, bo miasto zostało ogłoszone twierdzą i wiedzieli, że będzie się bronić przed nacierającymi od wschodu bolszewickimi hordami. Gauleiter Hanke zapewniał w radiowym przemówieniu, że nigdy nie padną na kolana przed tą czerwoną zarazą. Wierzył mu. Zresztą w co innego miał wierzyć? Wszystko dookoła rozsypywało się jak domek z kart, więc Breslau jawił się jak jasny, świetlisty punkt na czarnej mapie wojennego szaleństwa.

Dotarcie tam dawało szansę na przeżycie. Ale mogło się też zdarzyć tak, że po drodze wpadnie w łapy Ruskich. Dlatego postanowił, że nie może zabrać ze sobą tej jedynej w swoim rodzaju wojennej zdobyczy, która całkiem przypadkowo wpadła w jego ręce. Gdy jego oddział wycofywał się z Krakowa, zatrzymali się, by nieco odpocząć w jakimś lesie. Jego ludzie, postani na rekonesans, znaleźli kilka rozbitych i ostrzelanych wojskowych ciężarówek. Ci, którzy nimi jechali, albo zginęli na miejscu, albo poszli dalej pieszo, bo nikogo żywego tam nie znaleźli. Samochody wyładowane były meblami, ubraniami i innymi przedmiotami domowego użytku. Widać zapobiegliwi urzędnicy Generalnego Gubernatorstwa chcieli wywieźć swój dobytek do Niemiec, by ocalić go przez Sowietami, ale im się nie udało. Wszystko zostało na ciężarówkach, które już na zawsze miały zostać w Polsce. Jego żołnierzy nie interesowały te dobra. Szukali czegoś do jedzenia, ale bez skutku. Tylko feldfebel Kramer wrócił z jakimś trofeum. Pomiędzy gratami znalazł niewielką miedzianą rurę, która od góry była zamknięta szczelnym kapslem. Liczył, że w środku znajdzie jakieś kosztowności. Ale srodze się zawiódł. Otworzył tuleję i wydobył z niej zwinięte płótno. Rozwinął je, a potem wściekły rzucił na śnieg.

– Gówno jakieś – warknął i odszedł niezadowolony.

Oficer spojrzał na to, co leżało na śniegu. To był obraz na płótnie zdjęty z ramy.

– Poczekaj! – Potożył rękę na ramieniu siedzącego przed nim kierowcy Rudiego Lipke, sympatycznego osiemnastolatka pochodzącego z Moguncji, po czym wysiadł z kubelwagena, który z włączonym silnikiem czekał na rozkaz wyjazdu.

Pozostali żołnierze ładowali się na dwie ciężarówki. Nikogo nie obchodził obraz leżący na śniegu. Podszedł bliżej i zamarł w bezruchu. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi...

Nie, nie mogło być pomyłki. Nieraz oglądał obrazy tego malarza, ale nigdy nie miał okazji ich dotknąć. W końcu w salach muzealnych nie dotyka się dzieł wielkich mistrzów. A tu prawdziwy skarb leżał u jego stóp na śniegu jak stara szmata wyrzucone przez gospodynię, bo nie nadawała się nawet do wycierania podłogi.

Rozejrzał się. Jego ludzie siedzieli już na pakach ciężarówek. Tylko Rudi patrzył na niego, czekając, aż wyda polecenie wyjazdu.

Pochylił się, chwycił płótno i ostrożnie, jakby bojąc się, by ten skarb nie rozsypał mu się w dłoniach, zwinął go w rulon, a potem wsunął w porzuconą przez feldfebla miedzianą rurę i założył na jej wierzch kapsel. Wrócił do

auta i usiadł na tylnym siedzeniu, owijając się szczelnie grubym kożuchem.

– Jedziemy! – wydał polecenie kierowcy. Ten natychmiast wrzucił bieg i łazik ruszył. Obie ciężarówki podążyły jego śladem.

Mimo ponad dwudziestostopniowego mrozu słońce, które wzeszło godzinę temu na całkowicie bezchmurnym niebie, zapowiadało ładny dzień. Można by było nawet powiedzieć, że jest pięknie, gdyby nie nawała grzmotów rozlegających się na wschodzie. Front szedł w kierunku Rzeszy jak ogromny walec niszczący wszystko na swojej drodze.

Koło drugiej po południu przejechali przez Poznań zatłoczony do granic możliwości wycofującymi się wojskami. Postanowił nie zatrzymywać się w mieście, ale znaleźć kwaterę gdzieś poza nim. Pałac w niewielkiej wiosce Dąbrówka wydawał się idealnym miejscem, żeby trochę odpocząć i nabrać sił. Tym bardziej że nie był zniszczony, a niepowybijane szyby w oknach dawały gwarancję spędzenia najbliższej nocy w cieple. Żołnierze szybko ścięli dwa owocowe drzewa w sadzie, porąbali je na drobne polana, dzięki czemu można było napalić w kaflowych piecach i w kuchennej westfalce. Na piecu szybko pojawił się spory garnek. Żołnierze wrzucili do niego kilka kur wyszabrowanych we wsi. Do tego dotożyli suszony groch, wyfasowany jeszcze w magazynie zaopatrzeniowym Wehrmachtu, i kilka znalezionych w piwnicy dworu kartofli. Nie minęła godzina, gdy smakowity zapach wojskowej grochówki zaczął rozchodzić się po wszystkich pomieszczeniach. Zapach był tak intensywny, że i na zewnątrz zaczęło pachnieć zupą. Szybko przyciągnął do pałacu kilku maruderów z rozbitych oddziałów, którzy też uciekali na zachód. Chcieli się zatapać się na wyżerkę bez zaproszenia. Ale z nimi szybko poradzili sobie jego ludzie, sięgając po swoje karabiny, gotowi walczyć o jedzenie z bronią w ręku. Nie było litości dla obcych. Grochówka była tylko dla swoich. Ci, których przepędzono spod drzwi, odeszli, odgrając się, że wrócą tu większą gromadą.

Gdy syci żołnierze rozłożyli się na fotelach, kanapach i wprost na podłodze, on poszedł do samochodu. Zabrał tubę z obrazem i szybko przeszedł aleją parkową, która rozciągała się przed pałacem. Wjeżdżając tu przed dwoma godzinami, zobaczył z okien auta odpowiednie miejsce. Zdawało mu się wówczas, że jest to jakaś kapliczka. Okazała się rodzinnym grobowcem właścicieli tego majątku o nazwisku Von Tempelhoff, a jego najważniejszą częścią był ten solidny, murowany dwór, chwilowo zamieniony na wojskową kwaterę.

Obszedł grobowiec dookoła. Tylne ściana miała wyraźne pęknięcie. Z pochwy przytroczonej do pasa wy dobył bagnet. Zaczął nim szybko pracować, wbijając ostrze w kruchą, rozsypującą się stuletnią zaprawę. Wyjęcie trzech cegieł zabrało mu pół godziny. Za cegłami było nieco wolnej przestrzeni. Wsunął tam szybko tubę, a potem na powrót włożył cegły.

Nie do końca zadowolony wstał i rozejrzał się dookoła. Przydałoby się coś jeszcze do zamaskowania otworu. Solidną, marmurową płytę nagrobną znalazł opartą o boczną ścianę grobowca. Z niemałym trudem przyciągnął ją na miejsce, a potem oparł w ten sposób, że całkowicie załoniła poluzowane cegły. Wszystko to przysypał gruzem i jeszcze śniegiem. Jego wojenne trofeum było bezpieczne. Był przekonany, że nikogo nie zainteresuje ten stary grobowiec, a już na pewno ta pęknięta tablica. A to oznaczało, że obraz może leżeć tu jeszcze długo i nic mu się nie stanie. Wróci tu, jak tylko niemiecka armia odzyska utracone tereny. A jeśli nie, to wybierze się tutaj po wojnie. W końcu Poznań to prawie pograniczne miasto. Przedwojenna granica jest zaledwie pięćdziesiąt kilometrów stąd.

Po powrocie do dworu zabrał się za pisanie listu do brata. Wyśle go zaraz, jak tylko dotrze do Breslau. W ten sposób zabezpieczał się na wszelką ewentualność. Gdyby coś mu się nie dało, Boże stało, chłopak bez trudu powinien sobie poradzić z odnalezieniem rurki. Wolał zostawić ją tu w ukryciu, niż ryzykować, że wpadnie wraz z obrazem w ręce Ruskich. Ich wojska parły nieprzerwanie naprzód i mogło się nawet okazać, że atakiem z południa odetną drogę ucieczki w kierunku zachodnim.

List włożył do książki, a ją do kieszeni kożucha. Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma wieczór.

Da chłopakom jeszcze najwyżej pół godziny, a potem ruszają dalej. Wyszedł z budynku z papierosem w ustach. Stojąc na tarasie, wpatrywał się w ciemności, ale niewiele było można dostrzec, mimo że noc była jasna i księżycowa. Dalszy widok przestaniały krzaki i zarośla otaczające szczelnie dwór od strony parku. Naraz wydało mu się, że coś słyszy. Wyteżył wzrok, ale niczego nie zobaczył, raczej wyczuł, że w tych krzakach naprzeciwko ktoś się ukrywa. Chciał krzyknąć do wartownika, który powinien stać przy samochodach, żeby sprawdził, co tam się dzieje, ale nie zdążył.

Ostry skowyt serii wypuszczonej ze schmeissera rozdarł wieczorną ciszę. Poczut potężne uderzenia w brzuch i kłatkę piersiową, które rzuciły go na przeszkłone drzwi. Przez moment jeszcze widział ciemne plamy krwi, pochłaniające coraz większe połacie bluzy munduru. Potem zapadła ciemność.

Żołnierze wypadli z dworku z karabinami w rękę, pokrzykując głośno dla dodania sobie animuszu. Byli zaprawionymi w bojach frontowcami, więc doskonale wiedzieli, jak się zachować w takiej sytuacji. Natychmiast ostrzelali krzaki z bezwzględą dokładnością, a dopiero potem zanurzyli się w nie. Szybko zlokalizowali ukrytego napastnika. Już nie żył. Ostrzał okazał się zabójczo skuteczny. Rozpoznali w nim jednego z tych, którzy chcieli wprosić się na grochówkę.

– Zemścił się jak idiota – powiedział feldfebel Kramer. – Dał się zabić za michę grochówki.

– Ale zastrzelił Grüneberga, skurwysyn jeden. – Kierowca Rudi nie mógł uwierzyć, że jego przełożony zginął w tak niedorzecznych okolicznościach.

– No i jednego pieprzonego kapitana mniej. – Kramer nie przepadał za oficerami. – Dobra, zbieramy się. Ładować dupy na ciężarówki, bo wam je lwany odstrzela. Koniec spania. Ruszać się, panienki.

– A co z kapitanem?

– Włóżcie go do którejś trumny w tym grobowcu.

– Przecież te trumny są już zajęte.

– Stary truposz chyba się nie pogniewa, jak dostanie nowego lokatora, nie? – zażartował podoficer, a jego podwładni wybuchnęli śmiechem. Feldfebel, który był teraz najstarszy stopniem, szybko przejął dowództwo. Żołnierze bez ociągania przeszli pod jego rozkazy, doskonale wdrożeni w ramy wojskowej dyscypliny. Po dziesięciu minutach siedzieli już na pakach ciężarówek, owinięci dodatkowo kocami i pelerynami. Kramer już chciał wskoczyć do środka kubelwagena, którego przejął po zabitym dowódcy w spadku razem z kierowcą, ale nagle o czymś sobie przypomniał. Wrócił do pałacu, do pokoju, który zajmował kapitan. Gruby kożuch dowódcy leżał na stole. Po co miał się zmarnować. Szybko wciągnął go na grzbiet, na swoją grubą kurtkę. Kożuch był obszerny, taki typowo chłopski, więc mógł się nim bez trudu owinać. Nagle poczuł coś twardego z boku. Włożył dłoń do kieszeni. Ze zdziwieniem wyjął z niej jakąś książkę. Przeczytał tytuł, ale nic nie rozumiał, bo była po polsku. W pierwszej chwili chciał ją rzucić na podłogę, ale dostrzegł naprzeciw siebie szafkę wypelnioną książkami. Wzruszył ramionami, a potem podszedł do niej i odstawił na półkę. Nie był przecież barbarzyńcą. Miejsce książki było na półce między innymi książkami, a nie na podłodze.

Lipiec 2018

Podobno ten świat tak już jest skonstruowany, że jak ktoś się prosi o kłopoty, to choćby nie wiem, co robił, to i tak je sprowadzi na swoją głowę. Działo to też ponoć w drugą stronę, to znaczy, że jeśli ktoś nie chce mieć kłopotów, to i tak będzie je miał. Wniosek stąd taki, że niezależnie od tego, co byś robił, i tak będziesz mieć kłopoty, bo są one immanentną cechą naszej rzeczywistości. No ale żeby kłopoty znaleźć w antykwariacie między starymi książkami? Do tego trzeba być prawdziwym mistrzem świata. Tak, to właśnie ja, mistrz świata w kłopotach, Marcin Engel.

Mam trzydzieści lat, mieszkam na stałe w Warszawie, ale pochodzę z Poznania. Mam równo sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i ważę osiemdziesiąt jeden kilo. Jestem szczupłym blondynem o jasnej karnacji, dlatego gdy tylko znajdę się na słońcu, natychmiast opalam się na czerwono, a potem schodzi mi skóra. No więc się nie opalam, w przeciwieństwie do mojej dziewczyny, z którą mieszkam już dwa lata, choć na razie nie myślimy o małżeństwie ani dzieciach. Oboje jesteśmy ludźmi, którzy sprawy rodziny odkładają na później, bo najpierw trzeba się czegoś dorobić. Jeśli nie wielkich pieniędzy, to chociaż pozycji w branży. Oboje robimy w show-biznesie. Dżeska jest modelką, pracuje na wybiegach i w reklamach, a ja jestem reporterem, który od czasu do czasu robi reklamowe fuchy. To właśnie na planie jakiejś durnej reklamówki pasty do zębów poznałem Dżesi.

Ona grała lekarkę polecającą pastę do zębów.

Pasta do zębów Zembixwhite wybieli twoje zęby, które staną się śnieżnobiałe jak arktyczny śnieg już po miesiącu regularnego używania. Użyj pasty Zembixwhite, a twój uśmiech będzie olśniewający. Jestem stomatologiem i wiem, co mówię, bo sama używam pasty Zembixwhite codziennie – mówiła w reklamie, a potem szczyrzyła swoje olśniewająco białe zęby. Na mnie ten uśmiech zrobił wtedy piorunujące wrażenie. A jej spodobały się moje bystre niebieskie oczy, tak przynajmniej powiedziała mi jakiś czas potem, gdy nasza znajomość przeszła już z fazy wieczornych rozmów przez Messengera do etapu, w którym rozmowy przestają być potrzebne, bo palce i języki mają już całkowicie inne zastosowanie.

No więc te bystre oczy, jak się okazało, stały się przyczyną kłopotów, w które się właśnie wpakowałem, choć zupełnie ich nie oczekiwałem. Wystarczyło, że spojrzałem raz i od razu wiedziałem, że muszę ją mieć. Niepozornaksiażeczkarokutysiącdziewięćsettrzydziestegoósmegostatásobiewródnnychstarychksiążeknapółce antykwariatu przy ulicy Matejki w Poznaniu. Gdy przyjeżdżałem do rodziców, zawsze odwiedzałem dziadków mieszkających przy tej właśnie ulicy, w pięknej przedwojennej kamienicy, której ściana frontowa wychodzi na park Wilsona. Często bawiłem się tu, gdy byłem młodszy. Teraz wystarczy mi widok z okna. Za to za każdym razem, gdy tu bywam, zachodzę do małego antykwariatu, od lat mieszczącego się w suterynie sąsiedniego budynku.

No i tym razem znalazłem tam ten przedwojenny przewodnik po Poznaniu i okolicach. Lubilem takie stare wydawnictwa krajoznawcze. A że nie był drogi, na tylnej okładce ręka antykwariusza wypisała ołówkiem 25 złotych, więc nie zastanawiałem się ani chwilę.

Z przewodnikiem w kieszeni poszedłem na górę. Babcia przygotowywała obiad, a dziadek siedział przed telewizorem i oglądał jakiś film. Zdjąłem buty i poszedłem do kuchni, żeby z lodówki wziąć coś do picia. Babcia zawsze miała tam przynajmniej jedną butelkę czerwonej oranżady, bez której dziadek nie wyobrażał sobie życia. Nalałem sobie pełną szklankę i usiadłem przy białym kuchennym stole. Dookoła pachniało kiszoną kapustą i wędzonym boczkiem. Widomy znak, że babcia gotowała mój ulubiony kapuśniak. W tej sytuacji na drugie miały być kotlety mielone. Boże, gdyby Dżesi potrafiła tak gotować...

– Zobacz, co znalazłem w antykwariacie. – Rozłożyłem książkę na blacie.

– O, przedwojenny przewodnik! – Babcia pochyliła się, a ja zacząłem wertować kartki ozdobione czarno-białymi fotografiami. Naraz natrafiłem na coś dziwnego. Początkowo pomyślałem, że to kolorowa wklejka. Takie wklejki stosowano w przedwojennych książkach ilustrowanych. W tamtych czasach większość zdjęć w książkach była czarno-biała, ale niektóre drukowano w kolorze i wklejano do książek jako dodatkowy, uatrakcyjniający element.

– To koperta! – zauważyła babcia Halina.

– Jakiś list! – ucieszyłem się, wyjmując go z książki. Listy czy kartki pocztowe w starych książkach z antykwariatu zawsze były fajnym znaleziskiem, takim bonusem. Wiedzą to wszyscy ci, którzy lubią myszkować po antykwariatach. Ja lubilem i zdarzało mi się dorwać książkę z wkładką w postaci starego banknotu czy biletu

komunikacji miejskiej albo rodzinnej fotografii. Jednak na list natrafiłem po raz pierwszy.

– Niemiecki! – stwierdziła babcia, biorąc kopertę do ręki

– Herr Otto Grüneberg, Frankfurt am Main, Bäckerstraße 8/12 – odczytała nazwisko i adres. Zaklejony – zauważyła coraz bardziej zaintrygowana. – Zagłębiamy do środka?

– No pewnie, co za pytanie. Trzeba to rozciąć. Daj, babciu, jakiś nóż.

– Nożem taki stary list chcecie otwierać, wy barbarzyńcy? – odezwał się dziadek Franciszek, który najwyraźniej znudził się oglądaniem telewizji, a być może zaintrygowany go nasze podniecone znaleździem głasy. Dość, że przyszedł i jak zwykle okazał się pomocny.

– To niby jak otworzyć? – zapytałem, spoglądając niepewnie na starą kopertę.

– To stary sposób, który znają wszyscy filateliści. Oczywiście nad parą. – Wskazał garnek z kapuśniakiem. Wziął ode mnie list, podszedł do stojącego na piecu garnka i odsunął nieco pokrywkę, uwalniając strumień wilgotnego gorąca. Przez chwilę trzymał nad nim kopertę, a potem spojrzał na mnie zadowolony. Okazało się, że klej puścił i list dało się otworzyć bez rozcinania.

– A może powinniśmy ten list odesłać. – Naraz nabrałem wątpliwości. – Może ktoś na niego czeka?

– No coś ty, pewnie ma kilkadziesiąt lat. List nie wygląda na nowy. Skoro to niemiecki list, to pewnie ma sporo lat. Nie wiadomo, czy adresat w ogóle żyje. – Dziadek nie podzielał moich obaw. Wyciągnął list z koperty i rozłożył na blacie. Natychmiast wszyscy troje pochyliliśmy się nad nim.

– Po niemiecku napisany – mruknąłem pod nosem.

– Przecież uczyłeś się niemieckiego, Marcinku, w liceum – przypomniała sobie babcia.

– Dawno to było – bąknąłem pod nosem. – Teraz to angielski jest najpotrzebniejszy – stwierdziłem, by ukryć moje niezbyt imponujące osiągnięcia w opanowaniu języka Goethego i Manna. Z angielskim nie miałem kłopotów, ale niemiecki zaprzepaściłem na tyle, że potrafiłem się dogadać wyłącznie z kelnerem przy zamawianiu piwa.

– Okazuje się jednak, że nasza staroświecka znajomość niemieckiego może się przydać. – Dziadek usiadł na krześle, założył okulary i zabrał się do czytania, od razu tłumacząc list na polski.

Drogi Otto,

zatrzymaliśmy się właśnie w miejscowości Dąbrówka, niedaleko Poznania. Nie wiem, kiedy przeczytasz ten list, ale piszę go 16 stycznia 1945 roku. Piszę, ponieważ możemy już nigdy się nie zobaczyć. Chociaż gdybyśmy się zobaczyli, to pewnie bym Cię nie poznał. Na pewno bardzo urosteś, braciszku. Niestety, wojna potoczyła się w najgorszy możliwy dla nas sposób i jesteśmy zmuszeni uciekać przed bolszewikami. Nie wiem, czy wyjdę z tego cało, dlatego musisz coś wiedzieć. Znalazłem pewną miedzianą rurę. Żadne ciekawe znalezisko, ale to, co w niej jest, to prawdziwy skarb. Ukryłem to, braciszku! Ale nie byle gdzie. Piszę ten list w pałacyku w Dąbrówce. Wygląda na niemiecki. Solidnie wykonany, piętrowy, z tarasem i drewnianą werandą. Wnętrza porządnie utrzymane, choć wszędzie bałagan, bo właściciele uciekli. Nie ma się im co dziwić. Nikt normalny nie ma ochoty spotkać się z Iwanem.

W parku przy pałacu jest rodzinny grobowiec albo kapliczka z czerwonej cegły. Tam w tylnej ścianie od zewnątrz zrobiłem otwór, w którym ukryłem tę rurę i przywaliłem dziurę starą nagrobną płytą. Obraz schowany w rurze powinien przetrwać tam długi czas, więc jeśli nie wrócę z wojny, jedź tam i odszukaj to, com tam schował. A to, co tam jest, to prawdziwy rarytas i rzecz bezcenna. To Portret Młodzieńca pędzla Rafaela Santi.

Mój drogi bracie, to prawdopodobnie moja ostatnia wola. Jeśli nie wrócę do domu, gdy to wszystko się skończy, przyjedź tu, do Dąbrówki, znajdź mój wojenny skarb. Jeśli go sprzedasz, nigdy, ani ty, ani nasz kochana mama, nie zaznacie biedy. Drogi Otto, jeśli już nigdy się nie spotkamy, pamiętaj, że bardzo cię kocham! Dla mnie zawsze będziesz małym braciszkiem.

Twój starszy brat, Hans

W kuchni zapadła kompletna cisza. Słychać było tylko syk pary wylatującej z garnka z kapuśniakiem, tykanie zegara z kukutką i bzyczenie muchy, która próbowała wydostać się na zewnątrz przez okienną szybę.

– Chyba musisz się wybrać na rekonesans do Dąbrówki – stwierdziła Babcia.

– To jest być może największe odkrycie od czasu odnalezienia *Bitwy pod Grunwaldem* – próbowałem przekonać wydawcę programu reporterskiego. To on decydował o tym, czy „kupić” reportaż i czy temat jest na tyle interesujący, by mógł zająć miejsce w programie. Dlatego natychmiast, gdy w dłoniach dziadka eksplodowała bomba zawarta w niemieckim liście, zadzwoniłem do Warszawy, żeby przedstawić pomysł na sensacyjny reportaż.

– To *Bitwa pod Grunwaldem* kiedyś zaginęła? – zdziwił się Paweł Mazurek.

– Nie zaginęła, tylko została ukryta przed Niemcami. Bo jakby ją znaleźli, toby zniszczyli, więc polscy muzealnicy w trzydziestym dziewiątym roku obraz zwinęli w wielki rulon i ukryli w jakiejś stodole pod klepiskiem. Tak przetrwała całą wojnę.

– Aha, a ten twój młodzieniec to co?

– On zniknął całkowicie. Od wojny go nikt nigdy nie widział. Jest tak cenny jak *Dama z łasiczką*.

– Jaka dama?

– Z łasiczką, ta z muzeum Czartoryskich w Krakowie.

– Nie, ja w muzeum nie byłem. W Krakowie to ja raczej Wisłę albo Cracovię znam, a muzea to tak średnio.

– Ty nie musisz znać muzeów. Ty musisz tylko wiedzieć, że podczas wojny zaginął jeden z najcenniejszych obrazów, jakie kiedykolwiek były w Polsce. I mam ślad. To znaczy, być może wiem, gdzie on jest.

– Wiesz, gdzie on jest? – zdziwił się. – A niby skąd wiesz, jak nikt nie wie, gdzie on jest? – Jakoś chyba nie czuł tego tematu. Nic dziwnego, facet nie miał pojęcia o sztuce. Był dziennikarzem sportowym i nikt nie wiedział, jak to się stało, że facet od piłki nożnej trafił do redakcji reportażu, i to od razu na jej szefa. Widać miał w sobie to coś, co sprawia, że przełożeni dostrzegają w kimś potencjał niedostrzegalny dla innych. Ja raczej należałem do tej mniejszości, na której widok nauczyciel przypominał sobie, że nie zadał klasie zadania domowego.

– Tego się dowiesz z reportażu. Na razie niczego nie zdradzę, bo to jest za duża sensacja.

– No dobra – jęknął po drugiej stronie mój wydawca, a ja widziałem oczyma wyobraźni, jak macha ręką z rezygnacją. Gdybym mu powiedział, że na stadionie Olimpii w Poznaniu znaleziono zakopaną skrzynkę ze starymi trampkami, to pewnie by oszalał z podniecenia. Ale obraz to było tylko coś, co wisi na ścianie w muzeum, do którego i tak nikt nie chodzi. Niestety, świat jest pełen cymbałów, ale najgorsze, że większość z nich stoi na naszej drodze.

– Dostaniesz ekipę i mogą do ciebie jechać jutro – zdecydował. – Masz jakieś wymagania?

Oczywiście, że miałem, ale facet, z którym pracowałem od dwóch lat, nawet tego nie wiedział. Moim jedynym wymaganiem była praca z odpowiednimi ludźmi. Operatorem był zawsze Wasyl, brodaty osiłek wyjęty prosto z siłowni, inteligentny i bystry gość, który potrafił robić zdjęcia i na dodatek nie pytał o wszystko, tylko sam podejmował decyzje. No i była jeszcze Kamila, dziewczyna, z którą można było konie kraść. Szczupła blondynka z nogami do szyi. Typ modelki mierzącej 180 centymetrów. Musiałem zadzierać głowę, żeby spojrzeć jej w oczy. Już po pierwszej rozmowie, gdy przyszła do naszej redakcji dwa lata temu, wiedziałem, że będą z niej ludzie. Okazała się wyjątkowo bystra i do tego błyskawicznie kojarzyła fakty. Najczęściej, a przekonałem się o tym już nie raz, jej oceny sytuacji były niezwykle precyzyjne. Nie zgadzaliśmy się tylko w jednym. Jej opinia Dżesiki była zupełnie inna niż moja.

– Wasyl na kamerze i Kama jako drugi reporter i reaserch.

– OK. Tylko zróbcie coś ciekawego, no wiesz, najlepiej, żeby tam było jeszcze jakieś morderstwo albo co...

Jasne, postaramy się kogoś zamordować, pomyślałem złośliwie, wyobrażając sobie, jak duszę tego

sportowego kretyna gołymi rękoma, a on zamiast się bronić, opowiada o szansach Legii na kolejne mistrzostwo Polski. Ciągłe o tym bajdurzył, ale ja na takie gadanie byłem odporny. Nie kibicowałem Legii, nie kibicowałem Lechowi, w ogóle nikomu nie kibicowałem. Może byłem dziwny, ale od zawsze interesowałem się lekką atletyką.

– Jak tam w Poznaniu? – Usłyszałem głos Kamili, której Paweł przekazał słuchawkę.

– Piwo ciągle smakuje tak samo jak dawniej, a to oznacza, że jest jeszcze coś pewnego w tym zwariowanym świecie.

– Czy to znaczy, że stawiasz w Poznaniu zimnego lecha?

– Tak jakby. Pakuj się i ruszajcie z Wasylem. Robota ekstra, taka jak lubisz – wyjaśniłem.

– Czyli że co?

– Słyszałaś kiedyś o portrecie młodzieńca Rafaela? – zapytałem, ale i tak wiedziałem, co odpowie.

– Człowieku, a kto o tym nie słyszał. Czy myślisz, że ja żyję na bezludnej wyspie?

– Paweł nie żyje na wyspie, a nie słyszał.

– To jest inna liga, zdecydowanie cięższa – rzuciła do słuchawki i zaśmiała się głośno. – Jutro rano jesteście, a ty nie pij za dużo browarów. Poczekaj na nas.

Nie miałem zamiaru pić. Na popołudnie miałem już całkiem inne plany.

Przyjechałem do Poznania pociągiem, więc żeby dotrzeć do Dąbrówki, musiałem dojechać tam autem. Dziadek bez żadnych ceregieli pożyczał mi swojego starego opla kadeta, rocznik osiemdziesiąty piąty. Samochód trzymał się całkiem nieźle, a jego właściciel twierdził, że nie zamieniłby go na nic innego. A dla mnie to było poważne przeżycie. W końcu nie co dzień człowiek ma okazję jeździć autem, które jest starsze od niego o trzy lata. To prawdziwie muzealne doznanie, uświadomić sobie, spoglądając na własny pesel, że wydział komunikacji międzyludzkiej mógłby mu już wydać zabytkowe tablice rejestracyjne.

Z Łazarza do Dąbrówki jedzie się najwyżej pół godziny. Miejscowość leży zaraz za granicą Poznania. Dlatego przez ostatnie lata stała się miejską sypialnią, zabudowaną szeregowcami, bliźniakami i innymi blokopodobnymi klockami, które powinny właścicielom dawać poczucie własnej wyjątkowości i zamożności, a pewnie i dumy z faktu posiadania prywatnego sześcianu mieszkalnego. Równie dumne mogłyby być kurczaki z chowu klatkowego, bo też dysponują adekwatną do ich gabarytów czystą i schludną prywatną przestrzenią na własne potrzeby.

Pałac w Dąbrówce odnalazłem bez najmniejszego problemu dzięki nawigacji w telefonie. Zaprowadziła mnie przed budynek, który wyglądał dość nieciekawie. Spodziewałem się szlacheckiego dworku z kolumnami spadzistym dachem, a zobaczyłem coś, co równie dobrze mogłoby stanąć w jednym szeregu z nowoczesnymi klockami udającymi domy. Piętrowy, minimalistyczny, płaski, z podłużnym tarasem na piętrze. Jedynym elementem architektonicznym, który robił wrażenie przedwojennego, była weranda z oknami osadzonymi w drewnianych ścianach. W sumie pałacyk sprawiał niezbyt ciekawe wrażenie, które pogłębiała jeszcze żółta farba odfazująca z elewacji. Spoglądając na budynek, zrozumiałem, dlaczego w tej Dąbrówce tyle kwadratowych i prostokątnych budynków. No cóż, tradycja zobowiązuje. Widać współcześni architekci zapatrzili się w oszczędną i bezbarwną bryłę miejscowego zabytku i nawiązali do pałacowej przeszłości.

Na wszelki wypadek samochód zostawiłem na parkingu nieodległej Żabki, żeby uniknąć parkowania na podjeździe. Woląłem pozostać anonimowy, tym bardziej że nie wiedziałem, czego mogę się tam spodziewać – szkoły, przedszkola czy innej instytucji wykorzystującej zrabowane tym paskudnym przedwojennym obszarom mienie nieruchome.

Trafiłem. Budynek należał do szkoły imienia jakiegoś Nowaka. Nic dziwnego, mówi się, że w Wielkopolsce mieszkają przede wszystkim Kaczmarki i Nowaki. Reszta ma jakieś niemieckie nazwiska.

– Tu jest nieczynne dzisiaj – zawołał w moim kierunku na oko około pięćdziesięcioletni mężczyzna, ubrany w wojskową bluzę z pagonami i niemieckimi flagami na ramionach. Facet z Bundeswehry, zidentyfikowałem mundur z lumpeksu. Na głowie miał czerwoną bejsbolówkę NY, spod której wychodziły strąki przydługich, czyli dawno niestrzyżonych, a nie celowo zapuszczonych włosów. Nieogolona gęba świadczyła o niezbyt rygorystycznym podejściu do eleganckiej schludności.

– Ja się chciałem tylko zapytać czy można park sobie zwiedzić?

– Jaki park? – zdziwił się.

– No tu, ten. – Wskazałem dłonią na drzewa i jakieś krzaki rosnące wokół domu. – Wie pan, jestem historykiem i zbieram informacje o pałacach i dworach Wielkopolski. No i chciałem zrobić kilka zdjęć. – Wskazałem na swoją komórkę, którą trzymałem w dłoni.

– Tu nie ma nic do zwiedzania. Jest zamknięte. Jak będzie dyrektor, to można z nim pogadać. Ale za tydzień. Dzisiaj już nie będzie.

– Za tydzień to ja już będę w Warszawie.

– To trzeba się umawiać na rozmowę, bo inaczej nie można. Dyrektor nie pozwala po tym, co my tu...

– Co wy tu?

– My tu nic... Znaczący się nic panu do tego. A tak w ogóle to zamykamy, bo szkoła wew wakacje nieczynna jest – rzucił gniewnie i ruszył w moim kierunku. Nie miałem zamiaru się z nim szarpać, więc wycofałem się na ulicę. Ciec podszedł do bramy i zamknął mi ją przed nosem. Nawet ładnie wyszedł na obrazku, bo ja jak zwykle w takich sytuacjach od razu włączyłem kamerę w telefonie. Takie niepozowane zdjęcia z ukrycia zawsze ożywiają reportaż i nadają mu blasku autentyczności.

Ciekawie się zaczynało, a ja nie należałem do tych, którzy dają się zniechęcić jakimś buraczanemu ćwokowi. Odprowadzany niezbyt przyjaznym, ale badawczym spojrzeniem stróża poszedłem w stronę samochodu. Zajrzałem po drodze do spożywczaka. Kiedy wyszedłem z butelką mineralnej w rękach, stróża nie było już widać. Wypiłem wodę prosto z lodówki, postąłem jeszcze chwilę, tak na wszelki wypadek i postanowiłem wrócić pod płót okalający park. Ruszyłem wzdłuż ogrodzenia. O ile od ulicy wyglądało porządnie, to dalej nie było już tak pięknie. Stara siatka ledwie trzymała się byle jakich, cementowych słupków. W sumie prosta sprawa. Jeszcze trochę i na pewno znajdzie się dziura, przez którą chłopcy wchodzą w krzaki, żeby zrobić to, co wszyscy chłopcy robią w krzakach, i nie chodzi tu wcale o potrzeby fizjologiczne.

Po liczbie petów na udeptanej ziemi i pogniecionych puszek od piwa wiedziałem, że jestem już blisko. Dziura była na tyle wielka, by można było swobodnie się przez nią przecisnąć. Po drugiej stronie ogrodzenia natychmiast skierowałem się w lewo. Nie musiałem się zastanawiać, dokąd iść, bo czerwonoceglaste ruiny dostrzegłem już z daleka. Ukrywając się w krzakach, żeby nie dostrzegł mnie ten cerber w czerwonej bejsbolówce, zacząłem podchodzić do zrujnowanego grobowca.

Naraz dostrzegłem jakiś ruch przy bramie. Ciec, który mnie pogonił, stał teraz przy szeroko otwartym wjeździe, przez który wtaczał się powoli jakiś poważnie wyglądający terenowy wóz. Nie znałem się na samochodach na tyle, żeby określić markę, ale jedno od razu dawało się zauważyć, był znacznie droższy od zabytkowego wozu mojego dziadka.

Zaraz za nim wjechał kolejny samochód, tym razem zwyczajny i można by powiedzieć swojski: fiat seicento. Obydwa auta podjechały w pobliże szkolnego budynku. Z fiata wyszedł szczupły facet w białym T-shircie i džinsach. Natychmiast podbiegł do tej wielkiej terenówki. Stał przy drzwiach akurat w chwili, gdy tylne drzwi się odtworzyły. Na wysypywany kamieniami podjazd wyszedł mężczyzna ubrany w doskonale skrojony, dopasowany letni garnitur w paskowym kolorze. Wyglądał jakby przed chwilą wyskoczył z filmu podróżniczego. Brakowało mu tylko

korkowego hełmu na głowie. Kierowca terenówki też sprawiał ciekawie wrażenie. Napakowany i umięśniony jak typowy ochroniarz, który ledwo mieści się w marynarce, założył do niej spodnie bojówki i wojskowe buty.

Przez chwilę ten z fiata tłumaczył coś gościowi w garniturze, wskazując odrapaną, żółtą ścianę dworu, a potem ruszyli niemal wprost na mnie, w kierunku krzaków, gdzie przycupnąłem za drzewem. Kierowali się chyba do tych ruin, które miałem zamiar zobaczyć. Dobrze, że nie poszedłem tam wcześniej, bo byśmy się tam wszyscy spotkali... A właściwie to co z tego? Przecież nie byłem złodziejem okradającym jakieś syfiaste ruiny. A oni nie byli chyba przestępcami. Wyglądali normalnie jak... No właśnie, ten w garniturze piasek pustyni wyglądał jak Ojciec Chrzestny na urlopie. Na wszelki wypadek siedziałam dalej w ukryciu i z przyzwyczajenia wszystko nagrywałem. Facet w białej koszulce szedł obok niego jak przewodnik i opowiadał głośno, wymachując przy tym rękami.

– ...a w latach trzydziestych XIX wieku Dąbrówka stała się własnością rodziny von Tempelhoff, która utrzymała swoją posiadłość do roku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. Syn pruskiego generała, prawnik Karl Edward von Tempelhoff, żonaty z Henriettą Hubert, w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku kazał w Dąbrówce zbudować dwór mający być siedzibą rodu. Ich syn, Eduard Friedrich już pisał się „Tempelhoff na Dąbrówce”. Jego syn Kurt von Tempelhoff działał na rzecz miejscowej społeczności. Wraz z księciem Romanem Czartoryskim sfinansowali budowę kościoła w Skórzewie.

– He, he, Tempel-srempel! Jak to lotnisko w Berlinku – rzucił rezolutnie kierowca.

– A ten dwór to taki sobie raczej nieciekawcy. Jak blok – zauważył jego szef.

– Dwór w zasadzie jest bezstylowy, wzniesiony na planie prostokąta, nakryty płaskim dachem, dwukondygnacyjny. W starszej jego części usytuowany jest drewniany, przeszklony ganek.

– A ten grobowiec?

– Neogotycka budowla, w której pochowano członków rodziny Tempelhoff. Zniszczona i nienadająca się w zasadzie do odbudowy. Ale zachowujemy ją jako romantyczną ruinę. Utrzymujemy teren w porządku, żeby byle kto się tu nie kręcił. A teraz kazałem panu Stasiakowi ogarnąć to miejsce dość gruntownie, bo władze gminy chcą wystawić tu tablicę upamiętniającą tę rodzinę...

– Czyli przypadek dopomógł i naraz stał się cud – stwierdził piaskowy elegant.

– Jaki cud, panie? – odezwał się za jego pleców cieć w bejsbolówce. – Odsunąłem ino płytę, co tam stała z tyłu. O, chodźta tutaj. – Poprowadził ich za sobą, a ja poczułem na skroniach kropelki potu. Już wiedziałem, co się święci.

– O tutaj była dziura, tom wsadził łapę, a tam wew środku coś zimnego. No tom to wyciągnął, a to była tako metalowo rurka. Tom se pomyślał, że do gazu, znaczy się gazrurka, ino że gdzie tam gaz wew tym grobowcu. A ta rurka to była zakręcona na taki miedziany kapsel na górze jak stoik, no tom odkręcił, a tam wew środku coś było. Alem ja się naoglądał filmów na Discoverze, tom wiedział, że jak co starego wew środku, to nie wyciągać tak zaraz. To do pana dyrektora poszedłem.

– A ja patrzę, a tam w środku coś jakby płótno. No to wyciągam i nie mogę uwierzyć, jak już wyciągnąłem. Bo ja uczę plastyki i techniki, to się trochę znam na obrazach i od razu wiedziałem, że to jest ten zaginiony Rafael.

– Gdzie pan ma ten obraz? – zapytał garniturowy.

– U siebie w gabinecie. – Dyrektor wskazał na szkołę i zaraz ruszył przodem.

Chwilę później, gdy już trochę ochłonałem, a oni zniknęli w budynku, ruszyłem biegiem pod szkołę, żeby podstuchać albo zobaczyć, jeśli się cokolwiek da zobaczyć. Dało się. Z drugiej strony budynku okno w jednym pokoju było otwarte. Wspiąłem się, przytrzymując parapetu i zajrzałem do środka. W pokoju byli wszyscy czterej. Kierowca stał przy drzwiach, jakby się bał, że ktoś może im przeszkodzić w podziwianiu widoku. Portret młodzieńca musiał leżeć na stole, nad którym trzej pozostali się pochylali.

– Ja się na sztuce nie znam, ale jak pan mówi, że to jest oryginał... – Gość w garniturze miał wątpliwości. Wyglądał raczej na nowobogackiego biznesmena, a nie na konesera piękna.

– Oczywiście trzeba to sprawdzić, ale wiem, że to dzieło zaginęło podczas wojny. Należało do kolekcji Czartoryskich z Krakowa. Więc jest tak naprawdę od niedawna własnością państwa.

– Ile może być warte?

– Nie ma ceny. Jeśli powiedziałbym, że sto milionów złotych, tobym skłamał, bo może ktoś by za nie tyle dał, ale nie żadna galeria czy muzeum, bo to jest obraz niesprzedawalny na legalnym rynku. Ale jest sporo chętnych na takie dzieła. Zresztą sam pan dobrze wie.

– A mówiliście o tym komuś?

– No skąd. Tak jak się umawialiśmy, nikomu ani słowa.

– To bardzo dobrze, bardzo dobrze. Seweryn – garniturowiec skinął na ochroniarza – zapakuj obrazek, tylko ostrożnie. A tu dla pana jest początkowa gratyfikacja, powiedzmy na drobne wydatki związane z kosztami różnymi. Gdy nasza ekspertyza potwierdzi autentyczność, dostanie pan jeszcze obiecane dziewięćset tysięcy.

– Mam nadzieję, że tak będzie – stwierdził mężczyzna w białej koszulce. Ten jego stróż w bejsbolówce nic nie powiedział, bo zastygł w niemym podziwie, spoglądając na gruby plik banknotów leżących na biurku. Oczyma wyobraźni widział już zapewne siebie w pobliskiej Biedronce z koszykiem wypchany ulubionymi napojami. Niestety, nie dane mu było zrealizować marzeń. Przeszkodził mu w tym ochroniarz Seweryn, który naraz, zupełnie niespodziewanie, wydobyl z kieszeni potyskujący srebrem pistolet i niemal nie mierzając, oddał dwa strzały w dwie głowy, które wybuchły jak soczyste arbuzy. A ja wystraszyłem się tak bardzo, że poleciałem w dół, podczas gdy mój telefon spadł gdzieś w krzaki. Natychmiast zerwałem się z trawy, która zamortyzowała upadek, i pobiegłem ku najbliższemu zarośłom, rzucając się w nie opanowanym podczas lekcji wychowania fizycznego skokiem tygrysim. Ale to poświęcenie nie było mi do niczego potrzebne. Nikt się mną nie zainteresował. Byłem zbędnym elementem zbrodniczej układanki, który na jej temat wiedział wszystko. No prawie wszystko. Nie wiedziałem tylko o jednym, można by nawet powiedzieć: kluczowym szczególe, że znaczenia którego nie zdawał sobie sprawy żaden z uczestników tego ponurego dramatu.

Poczekąłem jeszcze chwilę ukryty w krzakach i dopiero gdy usłyszałem dźwięk odpalanego silnika, odważyłem się wyjść. Jasna dupa, pierwszy raz w życiu widziałem, jak ktoś do kogo strzelał, a w głowie miałem tylko jedną, kompletnie absurdalną myśl. Zastanawiałem się, czy moja komórka wszystko to nagrała?

Podszedłem szybko do okna i na wszelki wypadek zajrzałem do pokoju. Dwaj zastrzeleni faceci nadal byli tak samo martwi jak przed chwilą, a zabójcy zniknęli. Spojrzałem więc w dół. Telefonu nigdzie nie było widać. Padłem na kolana i zacząłem centymetr po centymetrze przeszukiwać trawnik i niewielkie krzaczki. W końcu go dostrzegłem, leżał między jakimiś kolczastymi gałęziami. Klnąc na czym świat stoi, oczywiście w duchu, bo głośno ze względów bezpieczeństwa się nie ośmieliłem, wsadziłem dłoń w gęstwinę i zaraz tego pożałowałem. Pieprzone kolczaste, gówniane... nie wiem co, bo oczywiście nazwy tego cholerstwa nie znam. Bo i skąd niby miałem znać? W szkole uczą nas budowy jakiegoś cholernego pantofelka, którego nikt nigdy nie widział na oczy, a potem człowiek nie ma pojęcia, jak nazywają się krzaki, do których się chodzi na przerwach palić fajki i robić inne równie ciekawe i ekscytujące rzeczy.

Jakoś udało mi się wydobyć aparat z tych kolczastych zasieków. Przycisnąłem okrągły przycisk. Działał. Szybko sprawdziłem ostatnie nagrania. Scena z pistoletem była zarejestrowana, a strzelającego faceta i tych przez niego zabitych gości widać było wyraźnie. Więc zrobiłem to, co natychmiast powinno się robić z takimi nagraniami. Wystąpiłem je do dwóch osób, którym całkowicie ufam, czyli do Kamili i Wasyla. Oni w razie czego będą wiedzieć, co z tym zrobić. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wystąpić na wszelki wypadek też do Dżesi, ale doszedłem

do wniosku, że nie ma potrzeby jej denerwować. Ona jest taka wrażliwa i delikatna, jeszcze się przestraszy i będzie miała potem niespokojne sny. W zeszłym roku, gdy przestraszyła się pewnego psa z sąsiedztwa, przez dwa dni miała czkawkę. Wołałem jej tego oszczędzić.

Zrobiłem jeszcze coś, co w takich sytuacjach powinno się robić. Udostępniłem Kamili swoje położenie, tak na wszelki wypadek, bo jak wiadomo lichy nie śpi.

Obszedłem pałacyk dookoła i po chwili byłem na podjeździe. Po terenowym wozie nie było śladu, a seicento stało z otwartymi drzwiami. Stare auto przeżyło swojego właściciela, pomyślałem zupełnie bez sensu, ruszając w kierunku pobliskiej Żabki. Po dwóch minutach byłem na miejscu. Podszedłem do mojego, a właściwie dziadkowego samochodu i stanąłem jak wryty. Tuż obok, oddzielony ode mnie i opła starym żukiem, stał zaparkowany wielki terenowy wóz. Teraz byłem na tyle blisko, że spokojnie mogłem dostrzec na tylnej klapie znaczek BMW. Dwaj faceci, ten w garniturze w kolorze szaraki i jego cyngiel Seweryn, stali sobie najspokojniej w świecie obok auta, jedli hot dogi i popijali colą. Nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi, zajęci całkowicie konsumpcją. Zresztą po co mieliby zwracać. Byłem jakimś gościem, który szedł sobie do spożywczaka, tubylcem, co pewnie przyszedł po piwo. No to wszedłem do sklepu na wszelki wypadek, kupiłem butelkę coli i wyszedłem na zewnątrz akurat, gdy kończyli jeść. Seweryn był porządnym gościem, bo zabrał od szefa papierki i pustą fiaskę i poszedł odnieść wszystko do kosza. Ja w tym czasie zdążyłem już usiąść za kierownicą i odpalić auto. Dziadek miał na szczęście przyczepiony do szyby uchwyt na telefon, więc osadziłem w nim moją komórkę i włączyłem nagrywanie. Nie miałem niestety ładowarki, bo ta dziadkowa do jego starego telefonu nie nadawała się do mojego nowoczesnego iPhone'a.

Gdy terenówka z bandytami ruszyła, pojechałem za nią. Nie wiedziałem na razie, co innego mógłbym zrobić, niż spróbować ich śledzić. Wcześniej byłem zły na siebie, że nie zapisałem numeru rejestracyjnego ich auta, ale teraz siedząc im na ogonie, wiedziałem, że wszystkie szczegóły będą zarejestrowane.

Jechali wolno przez Dąbrówkę w kierunku Poznania. Miałem nadzieję, że jadą do miasta, bo gdyby skręcili na obwodnicę, to nie miałbym najmniejszych szans utrzymać się im na ogonie. A tu, po drodze, było pełno świateł i skrzyżowań, więc miałem nadzieję, że ich nie zgubię. Cały czas gorączkowo się zastanawiałem, co z tego wszystkiego wyniknie? Najlepiej byłoby zadzwonić od razu na policję. Ale jeśli policjanci się dowiedzą, przyjadą i ich zgarną. A ja chciałem mieć z tego reportaż. Jechałem więc za nimi, licząc na to, że dotrą w jakieś konkretne miejsce, do jakiegoś domu czy firmy, a ja wtedy będę mógł zadzwonić po swoją ekipę. A gdy dojadą na miejsce, włączymy kamerę i wtedy dopiero wezwiemy policję, żeby wszystko, co robią, nagrać. Plan był dobry pod warunkiem, że mi nie uciekną.

Zadzwonił telefon. To Kamila. Odebrałem.

– Ja pierdziele, chłopie, co to jest?

– Masakra.

– No widzę. Co to za ludzie. Gdzie ty, do cholery, jesteś?

– Sprawdź lokalizację, bo ci ją wysyłam.

– Jak to? A, dobra widzę. No już jedziemy. Wasyl nie chciał czekać. I jak zwykle miał rację. Kazał mi się natychmiast zbierać, no i jedziemy...

– Super. To zajeżdźcie. Ja jadę za nimi.

– Za kim?

– Za tymi bandziorami, co zabili tych dwóch facetów i rąbnęli obraz, portret młodzieńca Rafaela.

– Co ty bredzisz? To on rzeczywiście istnieje? To znaczy odnalazł się?

– Tak, znaleźli go... Ale nie będziemy teraz o tym gadać. Jadą przede mną czarnym BMW, takim wielkim jakimś x chyba sześć, a ja za nimi oplem dziadka z osiemdziesiątego piątego roku.

– Nagrywasz to? – wtrącił się do rozmowy Wasyl.

– No raczej. Komórka filmuje, ja gadam i za chwilę mi padnie. Ale teraz nie nagrywam, bo rozmawiamy. Jak skończymy, znowu włączę nagrywanie.

– Podaj jeszcze numery rejestracyjne tego samochodu. – Kamila jak zwykle myślała racjonalnie.

– PZ 2343J

– Dobra zapisałam, jedź za nimi, ale bez szaleństw. Jak ich zgubisz, to odpuść. Znajdziemy gnoi.

– Spoko, tylko nie zawiadamiaj policji. Zadzwonimy, jak ich już namierzymy w jakimś konkretnym miejscu.

– Jasne – odpowiedziała. Chyba już zdążyłam ją poznać dość dobrze, bo w tym pośpiesznym zapewnieniu poczułam jakąś nutkę nieszczerości.

– Za ile tu będziecie?

– Za dwie...

I w tym momencie wszystko zaczęło się rozsypywać i wymykać spod kontroli. BMW tuż za rondem przyspieszyło i pognęło czteropasmówką w kierunku lotniska na Ławicy. Kierowca, najwyraźniej znudzony byle jaką drogą, na której co chwilę musiał się zatrzymywać na światłach, teraz wcisnął pedał i wyrwał płynnie do przodu. Mogłam tylko patrzeć ze złością, jak znika, oddalając się lewym, szybkim pasem. Ja co najwyżej mogłam sobie poruszać palcem w bucie. Pomyślałam na pocieszenie, że mam najważniejsze, czyli nagrania, bo dzięki nim morderca się nie wywinie, ale z drugiej strony było mi żal tego, czego nie będziemy mieli. Już przecież widziałem oczyma wyobraźni, jak pokazujemy tych dwóch wychodzących w kajdankach z jakiegoś biurowca Polpimu albo Pimpolu & Co, w którym ten zasraniec w garniturze jest prezesem. Szkoda tego obrazka, myślałam pełen żalu i złości, i wtedy wysiadła mi komórka. Nieodwołalnie i całkowicie padła bateria i na ekranie pojawiła się ciemność. A to oznaczało, że byłem w ciemnej dupie. Jechałem więc spokojnie, całkowicie zrezygnowany.

Gdy dojechałem do świateł koło przejścia, zmieniłem pas na lewy, bo pomyślałem, że w zasadzie to nie mam nic do roboty i mógłbym wpaść do Maca na hamburgera i frytki. Coś mi się w końcu od życia należało. Na stacji benzynowej kupię ładowarkę, podczas jedzenia podładuję telefon i zadzwonię do Kamy, żeby się naradzić. Zatrzymałem auto przed pasami, na wysokości wejścia do hali lotniskowej. I wtedy zobaczyłem w tylnym lusterku, że z lotniskowego parkingu po lewej wytacza się powoli BMW. Samochód wjechał na dwupasmówkę w kierunku Poznania i przystanął na sąsiednim pasie, tuż obok mnie. Spojrzałem w górę, w okno kierowcy. Seweryn nie patrzył na gości w takich małych samochodach, ale ja widziałem go doskonale. I wtedy wpadłem na najgłupszy w świecie pomysł. Zawsze miałem wariackie pomysły, ale ten był tak idiotyczny, że aż się zastanawiam, jak to możliwe, że zrodził się w mojej głowie. Zwykle mamy czas, żeby przemyśleć te najbardziej głupie idee, które lotem błyskawicy przelatują nam przez mózg i gdy zastanowimy się nad nimi dłużej, wstydzimy się przed samymi sobą, że w ogóle można było na coś takiego wpaść. Dlatego oddychamy z ulgą, że nie zaczęliśmy ich wprowadzać w życie, bo przecież tylko kompletny kretyń mógłby coś takiego zrobić. To się właśnie nazywa racjonalne podejście do rzeczywistości. Nie byłem racjonalny. Zrobiłem to, bo nie było czasu na myślenie.

Gdy światło zmieniło się na zielone, wcisnąłem gaz do dechy i z piskiem opon ruszyłem do przodu. Seweryn pewnie nawet nie zdążył się zdziwić, kiedy zrozumiał, co się dzieje. Ruszył spokojnie, jak przystało na kierowcę takiego monstrum i już zaczynał nabierać prędkości, gdy naraz drogę zajechał mu jakiś stary opel, prowadzony przez faceta należącego do gatunku tych idiotów, którzy zawsze widząc beemkę stojącą na równoległym pasie przed światłami, chcą beemkarzowi pokazać, kto tu jest mistrzem kierownicy. I mistrz z kadeta pognął do przodu, auto poszło przed siebie, ale widać umiejętności nie starczyło, bo samochód wpadł przednim, prawym kołem i kawałkiem maski na pas, po którym jechało BMW. Wielkie auto uderzyło w zawalidrogę i obróciło opla wokół jego własnej osi. Usłyszałem trzask i zgrzyt gnieczonego metalu, ale na szczęście wszystko to działo się na prawo ode mnie. Odrzucony siłą uderzenia rąbnąłem głową w ramę drzwi, a potem poleciałem do przodu. Poduszka powietrzna

oczywiście nie zadziałała. Być może w tym gruchocie nawet nie było poduszek powietrznych. Były za to solidne niemieckie pasy, które przytrzymały mnie w fotelu, minimalizując straty. A potem poczułem, że robi mi się ciemno przed oczyma.

– Panie kierowco, żyje pan?

– Lepiej dla tego chuja, żeby nie żył. Bo jak będzie żył, to ja mu osobiście oderwę tęb.

– Spokojnie, niech pan nie grozi.

– Jak mam nie grozić, jak ten skurwiel się ze mną ścigał.

– On z panem, czy pan z nim?

– Ja z nim? A po co ja miałbym się ścigać z takim trupem. Niech pan popatrzy, panie władzo, na tego gównianego opla.

– Żyje, bo otwiera oczy – odezwał się ktoś tuż przy mnie.

– Ja mu je zaraz zamknę, chujowi jednemu. Co za pierdolony kutas. Na pewno najebany albo na prochach.

– Panie kierowco, spokojnie, zapraszam do naszego samochodu, zaraz wszystko spiszę. A ty, Kamil, zajmij się tym drugim, zanim przyjedzie pogotowie.

– Jak go dopadnę, to mu, kurwa, żadne pogotowie nie będzie mu potrzebne – wygrażał Seweryn. Gdyby nie policjanci, już pewnie by spełniał swoje groźby.

– Jak się pan czuje? – zapytał młody, starszy posterunkowy w okularach.

– Dobrze. Nic mi nie jest.

– Pił pan alkohol?

– Nie.

– Zaraz to sprawdzimy. Może pan wysiąść z auta o własnych siłach?

– Tak, ale niech pan posłucha... to bardzo ważne. Jestem dziennikarzem. – Skinąłem na policjanta, który nieco zdziwiony pochylił głowę i oparł dłonie o rozbity ramę okna.

– Ci dwaj faceci z tej beemki pół godziny temu zastrzelili dwóch ludzi w Dąbrówce. Jadę za nimi od miejsca, w którym dokonano morderstwa. Wysiadła mi komórka, więc nie mogłem was zawiadomić. Mają przy sobie broń. To mordercy, a ja nie jestem świrem... Niech pan mi uwierzy. To są mordercy. Ten napakowany ma pistolet. Drugi też może mieć...

Policjant z drogówki przez chwilę patrzył na mnie jak zwykle patrzymy na obcego, nieoczekiwanego gościa, który przysiadł się do wigilijnego stołu. Chyba jednak musiałem mu się wydać wiarygodnym informatorem, bo zapytał rzeczowo:

– Ma pan jakąś legitymację?

Oczywiście nie miałem. Miałem dowód i wizytówkę pani minister kultury poprzedniego rządu. Ale jak się okazało chyba zdołałem na nim wyrzucić odpowiednie wrażenie. Spojrzał na stojące przy krawężniku bmw, potem na policyjny radiowóz, w którym jego kolega rozmawiał z facetem mogącym być mordercą, a potem na mnie. Chyba byłem przekonujący.

– Niech pan wyjdzie z auta, położy ręce na dachu samochodu i stanie w rozkroku – polecił zdecydowanym i nieznoszącym sprzeciwu głosem.

– Kurde, gościu, słuchaj co mówię, to nie o mnie się rozchodzi...

– Dalej, rób, co mówię! Wychodź, do cholery, z tego pieprzonego auta i nie oporuj! – zawołał, wyciągając z kabury pistolet.

Wyszedłem i zrobiłem, co kazał. Staram się zazwyczaj nie dyskutować z ludźmi mierzącymi do mnie ze spluwy nie wyglądającej na kolekcjonerską replikę.

– Michał, chodź tu szybko, mam faceta z narkotykami w aucie – zawołał do swojego partnera. Ten zdziwiony spojrzął na drogę, a gdy dostrzegł kolegę z bronią w ręku, natychmiast wyskoczył z policyjnej toyoty. Za nim wychylił się kierowca beemki.

– Mówiłem, że to pierdolony ćpun! – zawołał za policjantem. – Skurwiel jest tak naćpany, że nie wie, co się z nim dzieje.

– Niech pan pozostanie w aucie! – Policjant odwrócił się do niego, a potem wyciągnął pistolet i uzbrojony podbiegł do swojego kolegi. Przysunął się bliżej i zaczął mu coś tłumaczyć szeptem. Nie słyszałem co, bo stali dwa metry ode mnie.

Naraz sponad dachu dziadkowego opla dostrzegłem, że drzwi terenówki się otwierają i z tylnego siedzenia wysiada facet w pustynnym garniturze.

– Panowie, nam się spieszy. Przecież przez jakiegoś zasańca nie będziecie nas tu trzymać.

– Niech pan wróci do samochodu – zażądał ten, który chciał mnie zaaresztować i wymyślił te prochy. W zasadzie to nie rozumiiałem, o co mu chodzi. Przecież w dziadka aucie nigdy nie było narkotyków, a i ja nie bratem niczego... To znaczy nie byłem narkomanem.

– Ja zaraz mogę zadzwonić do ministra Barszczaka, szefa MSWiA, jak chcecie. Doskonale się znamy. I on wam wyjaśni, co trzeba. Myślicie, że można tak sobie zatrzymywać niewinnych ludzi na środku ulicy? – Facet najwyraźniej chciał pójść na udry. Ale policjanci nie dali się zastraszyć.

– Wracaj do auta, gościu! – krzyknął ten, który przed chwilą spisywał Seweryna.

– Do mnie z bronią?! – zawołał garnitur.

– Gleba, kurwa, gleba natychmiast! – polecił ostrym tonem facetowi Michał, a drugi, czyli Kamil, wycelował pistolet w kierunku gramolącego się z auta napakowanego kierowcy. Ten chciał coś powiedzieć, ale policjant przyłożył mu lufę do skroni. To działa lepiej niż lód w majtkach. Człowiekowi robi się zimno na całym ciele. To właśnie musiał poczuć ten paker, bo spokojnie dał się rozłożyć na asfalcie. Obaj bandyci zostali unieruchomieni, a policjanci niezwykle sprawnie przeszukali im kieszenie.

– Ja pierdolę, to jakieś cholerne bandziory! – zdziwił się Michał – wyciągając z kieszeni Seweryna broń. Jego kolega też natrafił na podobne znalezisko. Chyba więc mogłem się już rozprostować. Ten mój policjant to był jednak niezły bystrzak. Wymyślił te prochy, żeby uśpić czujność obu bandytów i udało mu się to koncertowo.

– Nic ci nie jest? – Usłyszałem znajomy głos. Odwróciłem się za siebie. Na chodniku z mikrofonem w dłoni stała Kamila. Zrobiłem wielkie oczy

– A ty skąd tutaj? Miałaś być za dwie godziny.

– Jakie dwie godziny? Jak wystąeś nam swoją pozycję byliśmy jakieś dwa kilometry stąd. Mówiłam, że dwie minuty...

Dwaj bandyci właśnie byli skuwani kajdankami. Wasyl wszystko filmował. Za nami utworzył się na drodze potężny korek, a ci, co jechali z naprzeciwka zwalniali, żeby zobaczyć, co się dzieje, więc cała ulica przy lotnisku była zakorkowana. Policjant, który ze mną rozmawiał, podszedł do nas.

– To o co dokładnie chodzi z tymi facetami? – zapytał.

– W pałacu w Dąbrowce zastrzelili dwóch ludzi. Mam to wszystko sfilmowane w telefonie.

– Muszę zabezpieczyć w takim razie pana telefon, bo to dowód w sprawie.

– Może pan zabezpieczać – Nie protestowałem, bo film był już wystany i zabezpieczony. Niech go sobie prokuratura sprawdza.

– A dlaczego ich zabili? – pytał dalej policjant.

– Przez obraz. Ci zabici znaleźli obraz o wielkiej wartości. Postanowili go sprzedać tym tu. – Wskazałem na

facetów w samochodzie. Ale takich obrazów się nie sprzedaje ot tak. Więc bandyci woleli pozbyć się świadków i ich zabili. Jak przeszukacie samochód, to albo znajdziecie rurę z obrazem, albo klucz od skrytki na lotnisku. Bo byli przez chwilę na lotnisku. Pewnie schowali do skrzynki depozytowej, żeby tego portretu nie wozić ze sobą. Nie była duża ta rura. O, taka...

Między samochodami jadącymi od Poznania zaczął przeciskać się duży wóz policyjny. Auto stanęło na naszej wysokości, a ze środka zaczęli wysypywać się policjanci, którzy zaraz zajęli się zabezpieczaniem terenu wokół wypadku i rozładowywaniem korka.

– Marcin, czy ty mówisz coś o obrazie w rurze? To znaczy o portrecie młodzieńca Rafaela Santi... – Kamila zrobiła wielkie oczy. No tak, nie ma się co dziwić. To odkrycie musiało na niej zrobić wielkie wrażenie. Nie codzień bowiem prosty reporter, taki jak ja czy ona, może dokonać tak wielkiego odkrycia. Przejdziemy do historii polskiego dziennikarstwa śledczego. W zasadzie to można by napisać o tym książkę...

– ... desce!

– Co? – popatrzyłem na Kamilę. – Coś mówiła, ale ja właśnie unoszony falą sukcesu dziennikarskiego i myśli o książce sensacyjnej własnego autorstwa nie usłyszałem, co powiedziała.

– Na desce.

– Na jakiej desce?

– Obraz *Portret młodzieńca* z kolekcji Czartoryskich namalowany był na desce.

– Co ty gadasz? Przecież go sam widziałem. – Pokręciłem głową i uśmiechnąłem się z politowaniem. Nic nie wiedziała, więc nic nie wiedziała. – Był na płótnie. Zwinęli go i schowali do rury, i potem... O ja pierdziele!

I wtedy zrozumiałem, co chciała mi powiedzieć. To, co ci dwaj faceci znaleźli w tym grobowcu, to był falsyfikat. Obraz ukryty przez kapitana Grüneberga był kopią, a ci zastrzeleni zginęli zupełnie niepotrzebnie. I na dodatek jeszcze zupełnie bez sensu rozbiłem ulubiony samochód dziadka.

Zawsze powtarzałem, że jak ktoś chce mieć kłopoty, to one go znajdą, a jakby nie chciał, to i tak będzie je miał. Taki los, cholera.